

zawodowych, co do reorganizacji ministerstwa handlu na ministerstwo handlu i przemysłu, co do zakładania przez stowarzyszenia przemysłowe instytucji dla celów ekonomicznych. Przeprowadzenie tych uchwał poruczone lwowskiej Izbie rękodzielniczej, która od szeregu lat staje zawsze na czele najważniejszych spraw rękodzielniczych.

W numerze dzisiejszym pomieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy uczestników wiecu i zjazdu rękodzielników.



Z lwowskiego bruku.

(Sensacje ogórkowe. — Co jest dla mnie największą sensacją? — Ministrowie w Galicyi i skutek ich wizyty. — Zmiany we Lwowie. — Teatr. — Zmiana recenzentów „Słowa”. — Sensacyjna odezwa do partyotycznych Czytelników).

Po sezonie ogórkowym ożywił się ruch do tego stopnia, że odrazu zaczęliśmy robić w sensacjach, których nam, zdaje się, nie zabraknie nigdy. Mieliliśmy już w pierwszych tygodniach samobójstwa, pojedynki, małżeństwa na próbę, strzelanie z przodu, strzelanie z tyłu, katastrofę kolejową, pęknięcie rury wodociągowej, katastrofę automobilową, złapanie prawdziwego złodzieja przez policyanta, śmierć z grybów, śmierć z miłości, aresztowanie kolporterów, uwolnienie kolporterów, pożary, Japończyków, teatr papug, atletki damskie, zaręczyny bez posagu i inne sensacje, których nie wyliczyłbym bez pomocy dzienników, protokołów policyi, szpitalów, stacji ratunkowej i urzędów metrykalnych.

Na sensacje byliśmy zresztą przygotowani po sezonie ogórkowym. Po ogórkach, po tylu ogórkach i po takich ogórkach, zwykle następują sensacje. Ale największą dla mnie sensacją jest przyjazd do Galicyi dwóch ministrów: kolei i handlu.

Gdyby jakaś odważna Lwowianka była urodziła czworaki, gdyby przy tej sposobności przyszedł na świat młody obywatel o trzech głowach, gdyby dyrektor Schechtel pił „bruderschaft” ze wszystkimi kolporterami aresztowanymi za kolportaż, gdyby namiestnik Potocki śpiewał na lwowskim rynku Czerwony sztandar na trzeźwo, a socjaliści złapali go za nogi i obnosili wśród wiwatów po mieście — to wszystko to nie byłoby dla mnie taką sensacją, jak przyjazd ministra kolei i ministra handlu do Galicyi.

Nie o ministrów mi chodzi, ale o ich odwagę nadzwyczajną. Wiecznie żalimy się na kolej, na pocztę i na telefony, odgrywamy się, smarujemy w dziennikach i zdawało się, że gdyby się tak który odważył pokazać w Galicyi, udusiłibyśmy go albo porwali na kawałki, a rozdarte ciało rzucilibyśmy sępom i krukowi na żer.

To też z zapartym oddechem czekałem na ministrów. Chciałem już zobaczyć, co z nimi zrobią w Galicyi i co im powiedzą. A co z nimi zrobili i co im powiedzieli — wiecie. Przyjeśliśmy ich z honorami, bawiliśmy ich, urządzali obiady i festy i oto nasza zemsta. Niech wiedzą, że jesteśmy gościnni. Nie powiedzieliśmy im nic, bo oni sami wszystko widzieli.

Ma się rozumieć, że stosunki kolejowe, pocztowe i handlowe zmieniają się teraz nie do poznania, skutkiem wizyty tych dwu ministrów. Minister kolejowy przyrzekł ogólnikowo, że dbać będzie o poprawę stosunków, a słowo ministra, to nie byle co. Możemy się więc spodziewać, że odtąd nie będzie ścisku w wagonach kolejowych, nie będzie katastrof kolejowej, ani bójki z konduktorami o miejsce, o papierosa, o nic. Minister poczt nie przyrzekł wprawdzie wyraźnie, że linia telefoniczna Lwów-Kraków-Wiedeń nie będzie odtąd sześć razy w tygodniu przerywana, ale przyjął do zatwierdzającej wiadomości, że tak dotychczas było i powiedział, że może to się jakoś jeszcze kiedyś poprawi.

Ale byli u nas obaj i dali tem dowód, że wiedzą o naszym istnieniu. Może to jedyny dowód, ale dobre i to, bo inny minister nie wie nawet, czy Galicya wchodzi w skład Austrii, o ile idzie o jakieś ulepszenia lub wydatki.

Z wyjątkiem ministra skarbu. Ten wie dobrze, że Galicya istnieje, a że jest naszym rodakiem i chce nas w ładnym świetle pokazać, każe nam najwięcej płacić. W Wiedniu zdumieni są ludzie, że jesteśmy tak bogatym krajem, a mamy tak małe wymagania. Nasz honor rośnie tam z dniem ka-

zdem i Galicya wyrabia się powoli na koronę krajów koronnych.

Nie chcę kochanych Czytelników nużyć dłużej polityką, dlatego odstawiam na bok wszystkich ministrów, zamykam jeszcze nieotwarty parlament i wracam do Lwowa — niepolitycznego. O tem, co było, niema co pisać, nawet nie o tem, co było a nie zmieniło się wcale. Drożyzna mieszkań, drożyzna artykułów żywności i woda w Radzie miejskiej — jak zawsze. A więc tylko mi zostaje mówić o zmianach.

Naprzód zmiana dyrekcyi teatru. Pan Ludwik Heller znany jest ze swojej energii. Jak pluł w kułak, obejmując teatr, tak nie odpoczywa i nie odpocznie, dopóki będzie jego dyrektorem. Stara się o urozmaicenie nie tylko w personalu, ale i w repertoarze, z którego zrobił istną mozaikę. Ubiegłej soboty otworzył już nawet sezon operowy, byleby ściągnąć gości, którzy z powodu sprzyjającej pogody spędzają jeszcze wieczory pod gołym niebem. I chodzą. Gdyby tylko p. Heller porzucił jeszcze biurokratyczną formalistykę, a całą swoją energię spożytkował wyłącznie dla sztuki, przeciwnicy jego nie mieliby mu z pewnością nic do zarzucenia. Ale siedzi w nim jeszcze biurokrata, materyał na kandydata na namiestnika. O teatrze przyjdzie nam mówić jeszcze nieraz i dlatego na dziś ograniczamy się zanotowaniem, że p. Heller początek zrobił w każdym razie dobry.

Z innych zmian wspomnieć należy o zmianie recenzenta w „Słowie Polskim”. Byli dotąd jego recenzentami panowie Wasilewski i Makuszyński. Pierwszy pisał recenzje rzeczowe z wielką znajomością dramatu, drugi, tj. p. Makuszyński pisywał swoje sprawozdania nie tyle może rzeczowo, ile zajmująco, niemal sympatycznie. Gdy pierwszy zyskał mir powagi, drugi wyrobił sobie zasłużoną popularność. Teraz ich miejsce objął pan Jan August Kisielewski, znany i ceniony autor dramatyczny, który zaraz pierwszymi występiami udowodnił, że można być bardzo utalentowanym autorem dramatycznym a bardzo nietęgim sprawozdawcą teatralnym. Zwłaszcza ta recenzja o sztuce „W małym domku” jest tak słaba, że nie nadawałaby się nawet do drobnego, nieznanego tygodnika. To nie było sprawozdanie, ale majaczenie. I dlatego nasuwa się pytanie, jaki był cel tej zmiany recenzentów w „Słowie Polskim”, jeśli to nie była zmiana na lepsze i jeśli „Słowo” ma dwóch o wiele lepszych recenzentów własnych, którzy zostali w redakcyi?

Pan Kisielewski powinien dalej pisać dramaty, bo na tem polu może jeszcze dużo zrobić. Ale krytyki polskiej p. Kisielewski nie wzbogaci. Świadczy o tem nie tylko recenzje drukowane w „Słowie Polskim”, ale i poprzednie, drukowane w „Myśli” warszawskiej. Może one są takie bardzo oryginalne, może „w swoim rodzaju” usprawiedliwione, ale trudno uważać je za recenzje dobre. Już lepiej pisać o grze aktorów. Ale to jeszcze nie wszystko. To nawet nie połowa.

Na koniec dla pięknych Czytelniczek sensacyjne ogłoszenie. Oto w poniedziałkowym „Słowie” poszukuje żony jakiś „przystojny kawaler, ostatni potomek prastarego rodu szlacheckiego, pieczętujący się 7 pałkami”. Tak pisze dosłownie i dodaje, że panna ma mieć posag od 60 000 kor. Więcej nie zaszkodzi. Ponieważ jest to ostatni potomek prastarego rodu, przeto powinny szan. Czytelniczki zwrócić baczniejszą uwagę na to ogłoszenie. To nie są żarty. Tu chodzi o utrzymanie dynastyi pieczętującej się 7 pałkami. Gdyby tak, uchowaj Boże, nie znalazła się żadna właścicielka 60 000 kor., któraby miała gust dopomódz do utrzymania a raczej do przedłużenia bytu dynastyi o siedmiu pałkach, to gotów prastary ród wymrzeć na ostatnim potomku o 7 pałkach i kraj byłby narażony na ciężką stratę. Dlatego wzywam Was, patryotyczne Czytelniczki, przysyłajcie czempnioną ofertę z fotografiami, przyczem zapewniona jest „dyskrety pod parolem szlacheckim”. A ten parol jest przecie znany.



Od Redakcyi.

Druk drugiej części sensacyjnej powieści współczesnej, osnutej na tle zdarzeń prawdziwych przez Bronisława Mazowieckiego, p. t.

„Mateczka”

zaczniemy w następnym numerze.

Z półek księgarskich.

E. W: Choroby a małżeństwo. Pod tym tytułem ukazała się świeżo na półkach księgarskich broszura, która ze względu na ważność przedmiotu, o jakim traktuje, zasługuje na uznanie i zajęcie się nią ogółu. Celem książki, pisanej barwnie i żywo, stylem pięknym, pociągającym szczególnością wypowiadanych myśli, jest wykorzenie, a raczej, nawoływanie do wyzbycia się i wyrugowania ze społeczeństwa tej fałszywej pruderyi, która nie pozwala mówić o twarce o życiu płciowym. Tajemniczość ta, jaką osłonięte jest u nas stale życie płciowe, staje się powodem, iż setki i tysiące młodziarzy zwłaszcza, marnują się wskutek rozlicznych chorób „tajemnych”, o których mówić otwarcie nie pozwala obłudna pruderya. Celem wspomnianej książki jest właśnie „otwarcie oczu” społeczeństwu, wykazanie, że choroby weneryczne są chorobami takimiż samymi, jak wszystkie inne, że więc nie są bynajmniej „niemoralne i tajemne”, o których mówić „nie przystoi”, że choroby te grasują w sposób straszny, że więc niedorzeczna i wstrętna jest ta hypokryzja, w jaką stroi się społeczeństwo w tych sprawach.

Małżeństwo uważa autor — opierając się na teorii deducencyi — za ewolucyjnie powstałą, najdoskonalszą formę pojęcia rodzinnego; wykazuje więc całą ohydę i niestosowne sposoby dzisiejszego zawierania małżeństw, w których nie zwraca się najmniejszej uwagi na „dobrą płciową”, na dziedziczne obciążenie osobników, na ich zdrowie, jeno na majątek i godność; przedstawia dalej straszne skutki, jakie powodują w małżeństwie choroby konstytucyjne, jak gruźlica, zatrucie ołowiem i rtęcią, alkoholizm, morfinizm i wreszcie choroby weneryczne, które autor wyjaśnia na szerokim podkładzie klinicznym. Autor wzywa na końcu do dążenia do czystości wstrzemięźliwości płciowej nie ze względu jakiejś askezy, jeno wprost zdrowia.

Książka pisana jest z fachową znajomością i opanowaniem przedmiotu. Autor nie ma zamiaru ludzi w „czystych” przemieniać i pogrążyć ludzkość w kontemplacyi, chce jeno zwrócić uwagę na straszne skutki obwijania w bawełnę pędu płciowego, który przedstawia jako największy dar natury. Książka jego jest z tych względów potrzebną i pożyteczną, powinna więc znaleźć najszersze koła czytelników.



Wieczorki dobroczynne w Galicyi.

Krwawe wypadki, jakich od roku przeszło jest widownią Rosya i Królestwo Polskie, zaznaczyły się w Galicyi tłumnym napływem ofiar, które dzięki fatalnemu zbiegowi okoliczności straciły wśród burzy rewolucyjnej całe mienie, ratując jedynie najdroższy skarb, życie. Galicya przyjęła nieszczęśli-



Wieczorki dobroczynne w Galicyi: Wacław Nynkowski, artysta dramatyczny, wyruszający obecnie na prowincję, celem urządzania przedstawień na dochód ofiar rewolucyi rosyjskiej.

wych po chrześcijańsku, z miłością, podała im ręce i według sił stara się, aby biedakom ulżyć w niedoli i przynajmniej środków do życia im dostarczyć.

W Krakowie zawiązało się w tym celu specjalne stowarzyszenie „Samopomoc”. Zadaniem stowarzyszenia jest wspierać nieszczęśliwe ofiary dziejowej burzy bez względu na ich narodowość, wyznanie i polityczne przekonania. Aby zebrać jak największe na ten szlachetny cel fundusze, członkowie „Samopomocy” pp. Wacław i Marya Nynkowsky, znani zaszczytnie artyści dramatyczni, udają się do większych miast Galicyi, gdzie będą